



LOGAN^{T.M.}

TYLKO
WRÓĆ
PRZED PÓŁNOCĄ

1

Powinienem był się domyślić, że coś jest nie w porządku.

Powinienem był to wyczuć, tak jak wyczuwa się rosnące napięcie przed grzmotem – tę wymowną, znaczącą ciszę.

Byłem przecież jego ojcem. Jego pierwszą linią obrony. I zarazem ostatnią.

Tyle że wtedy – kilka minut po trzeciej w nocy – wiedziałem tylko, że się obudziłem.

Ze snu mógł mnie wyrwać jakiś dźwięk dobiegający z zewnątrz: nawoływanie kojota lub miauczący kot. Coś innego. Teraz jednak w ciepłej, atramentowej czerni sypialni panuje cisza. Oba okna są otwarte, lekka kołdra leży do połowy odrzucona na bok. Telefon, spoczywający na stoliku nocnym, jest wyciszony. Na chwilę oślepia mnie blask ekranu, kiedy sprawdzam, czy nie dostałem wiadomości od syna. W naszym domu obowiązują trzy reguły. Pierwsza: „Wyślij wiadomość, żebyśmy wiedzieli, gdzie jesteś”. Druga: „Wracaj o wyznaczonej godzinie”. Trzecia: „Trzymaj się przyjaciół”. Nie zakazujemy Connorowi picia alkoholu, bo chyba nie ma to większego sensu w przypadku nastolatka. Będzie to robił, niezależnie od tego, co powiemy, więc możemy tylko dbać o to, żeby nie stała mu się przy okazji krzywda.

Nie dostałem żadnej wiadomości od syna.

Wiem jednak, że jeśli cokolwiek napisał, to raczej do mojej żony.

Ona leży obok pogrążona w głębokim śnie, słyszę jej delikatny, powolny, kojący oddech. Odkładam telefon i zamykam oczy. To ja zawsze miałem twardszy sen. Laura obudziłaby się, gdyby Connor wrócił. W domu miał się stawiać przed północą. Wcześniej niż jedni, później niż inni. W normalny sobotni wieczór byłaby to jedenasta, ale w pierwszy weekend letnich wakacji postanowiliśmy mu trochę poluzować.

Powinien być w domu już od kilku godzin, myślę.

To wystarcza – nie potrafię zasnąć. Mój umysł zaczyna się nakręcać, trybiki obracają się coraz szybciej, myśli odciągają mnie daleko od sypialni. Przed oczami nadal migają odbłaski obrazów z ekranu telefonu. Z jakiegoś powodu ogarnia mnie potrzeba, żeby pójść do łazienki. Ech, uroki wieku średniego. Spuszczam nogi na podłogę i wychodzę po cichu na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Wracając z łazienki, uświadamiam sobie, że schody prowadzące na piętro są bardziej oświetlone niż powinny. Pojedyncza żarówka zalewa bladymi cieniami korytarz na parterze.

Światło na werandzie nadal się pali.

Connor miał je wyłączyć, kiedy wróci do domu. Ile razy mu powtarzaliśmy: „Zgaszone światło na werandzie oznacza, że jesteś w domu, okej?”. Światło zapalone oznacza... prawdopodobnie nic nie oznacza. Po prostu zapomniał je zgasić i tyle. Szesnastolatki wciąż zapominają o takich rzeczach.

Schodzę na parter, stąpając bosymi stopami po zimnych płytkach, i wyłączam światło. Hol pogrąża się w całkowitej ciemności. Stoję tam przez chwilę, trzymając dłoń na poręczy i czekając, aż wzrok przyzwyczai się do mroku.

Po powrocie na piętro podchodzę pod wąskie kręte schodki prowadzące do pokoju Connora na drugim piętrze i nasłuchuję.

W domu wokół mnie panuje absolutna cisza.

Po prostu zostawił włączoną lampę na werandzie, to wszystko. Co chwilę zdarza mu się nie zgasić światła, nie zamknąć drzwi, nie umyć po sobie naczyń, nie powiesić nowej rolki papieru toaletowego, zostawić mokry ręcznik na podłodze w łazience. Jak każdemu nastolatkowi.

Ale skoro już się obudziłem... Może warto sprawdzić, czy rzeczywiście wrócił do domu.

Wchodzę powoli po schodach, które skręcają w prawo i znów w prawo. Omijam trzeci stopień od góry – ten skrzypiący – i staję ostrożnie na podeście. Dwie pary drzwi. Z boku sypialnia dla gości, na końcu pokój Connora zajmujący dwie trzecie górnego piętra pod spadzistym dachem.

Drzwi są uchylone. Popycham je ostrożnie i wchodzę do środka, gdzie wita mnie znajomy zapach potu i używanych butów sportowych okraszony delikatną wonią dezodorantu. Naturalny zapach nieupranych ubrań i niedojedzonej kanapki kryjącej się na talerzu pod łóżkiem. Ciemność rozmyła walające się na podłodze dzinsy, buty, naczynia i kubki w niedoprecyzowane kształty.

Mrużę oczy, próbując dostrzec więcej w mroku. Żałuję, że zostawiłem okulary na stoliku nocnym, mimo to dostrzegam znajomy kształt: długie kończyny rozłożone pod koldrą, ciemne włosy na poduszce. Już nie chłopiec, jeszcze nie mężczyzna. Opada ze mnie napięcie. Connor leży w łóżku. Wrócił do domu. Bezpiecznie. No bo jakżeby inaczej.

Czuję ukłucie tęsknoty za czasami, kiedy co wieczór czytałem mu coś przed snem, kiedy był moim małym cieniem. Byliśmy nierozłączni: kopaliśmy w piłkę w ogrodzie, graliśmy na komputerze, oglądaliśmy *Jasia Fasolę* i *Gwiezdne wojny*, zaczytywaliśmy się w książkach Roalda Dahla, mimo że od pewnego momentu znaliśmy je już na pamięć. Obecnie Connor woli spędzać czas

z kuzynem, z kumplami, a jeżeli komuś się zwierza, to głównie mamie. Pewnie dlatego, że ona jest mniej krytyczna. Że wykazuje się zrozumieniem i nie potępia. Niekoniecznie pochwała, ale przynajmniej słucha, nie przerywając, jak to mam skłonność robić ja. Odnoszę czasem wrażenie, że wciąż tylko ciskam na niego gromy. W rezultacie coraz bardziej przypominamy dwa statki, które mijają się bezgłośnie w nocy – czasami przez kilka dni z rzędu nie zamieniamy więcej niż kilka słów. Connor albo siedzi w swoim pokoju, albo zamyka się w łazience, albo odpowiada monosylabami przy stole w kuchni. Albo go po prostu nie ma.

Ale o 3.09 w nocy z soboty na niedzielę wszystko to traci jakiegokolwiek znaczenie – mój chłopiec jest w domu. Leży w swoim łóżku, w swoim pokoju, czyli tam, gdzie powinien się znajdować. Wszystko jest w porządku. Nieruchomieję na chwilę w drzwiach, wpatrzony w skrytą w cieniach sylwetkę śpiącego syna.

Nieświadomy, jak bardzo się myślę.

A przecież powinienem był wiedzieć, że coś jest nie tak. Powinienem był to wyczuć.

Ale tak się nie stało.

Aż było za późno.

2

Przez resztę nocy śpię niespokojnie i rano budzę się ze snu wypełnionego dręczącym przekonaniem, że drzwi wejściowe są otwarte. Kiedy próbuję je domknąć, korytarz się wydłuża, drzwi oddalają, a klamka pozostaje cały czas poza zasięgiem mojej ręki.

Po wzięciu prysznicza ubieram się i schodzę do kuchni, gdzie zastaję Laurę, która zdążyła wrócić do domu po porannym

joggingu. Ma zarumienione policzki, kasztanowe włosy upięte w kucyk, a na ramieniu etui z telefonem. Podaje mi kubek świeżo zaparzonej kawy z ekspresu. Sama pije już swoją.

– Podwójna – mówi. – Wyglądasz, jakbyś takiej potrzebował.

– Dzięki. – Kawa jest mocna i czarna, a od samego jej zapachu oczy otwierają mi się odrobinę szerzej, zanim jeszcze kofeina ma szansę przedostać się do krwiobiegu. – Aż tak źle wyglądam?

– Tylko żartuję, jesteś świeżutki jak pączek róży.

– Akurat – mrużę. – Słyszałaś, jak Connor wracał wczoraj w nocy do domu?

Laura siada na przy stole i zaczyna rozwiązywać sznurówki adidasów.

– Wysłał mi wiadomość. Już spałeś. A co?

– Najwyraźniej coraz lepiej idzie mu przekradanie się po ciemku – zauważam. – Nie słyszałem, jak wchodził.

– Bo znów chrapałeś.

– Wcale nie!

– Miałam cię nawet szturchnąć, ale odwróciłeś się na drugi bok.

Uśmiecha się. Jesteśmy razem od ponad dwudziestu lat, a mimo to nadal nie zawsze potrafię rozpoznać, kiedy mnie podpuszcza. Zwłaszcza tak wcześnie rano. Upijam kolejny łyk kawy, trzymając kubek w obu dłoniach i opierając się o stolik barowy. Laura zdążyła już otworzyć podwójne drzwi balkonowe prowadzące na patio, dzięki czemu zapach skoszonej trawy i kwiatów wlewa się do środka wraz z ciepłym wiatrem, kusząc kolejnym cudownym letnim dniem. Niebo jest czyste, w odcieniu bezchmurnego błękitu.

– Czyli Connor zdążył wrócić przed wyznaczoną godziną? – pytam.

– Mówiłam przecież, napisał do mnie o północy, że już jest.

– Ale ty też nie słyszałaś, jak wchodzi, prawda?

Laura spogląda na mnie pytająco.

– Nigdy wcześniej nie wrócił po czasie, prawda? O północy poinformował, że jest, więc zrobił to, o co go poprosiliśmy. Ufam mu. – Potrząsa głową. – Wiesz, Andy, musi w końcu nadejść taki moment, kiedy oboje mu zaufamy.

Kończy rozwiązywać sznurówki i zaczyna się rozciągać, opierając opaloną nogę na parapecie okna i wyciągając dłonie w kierunku palców.

Toffi, nasz cavapoo, wkracza do kuchni ze smyczą w pysku i upuszcza ją u moich stóp, jakby ją składał w ofierze. Siada z wywieszonym ozorem i spogląda na mnie swoimi wielkimi czekoladowobrązowymi oczami, przesuwając miarowo ogonem po podłodze.

Głaszczę go za uszami po słomkowej sierści.

– No wiem, wiem – przyznaję. – Zdaję sobie z tego sprawę. Nie ufam mu. Po prostu zostawił światło na werandzie.

– Jeżeli to wszystko, o co możemy się niepokoić, to chyba jest naprawdę dobrze.

Trudno z tym polemizować. Żeby nie wyjść na jeszcze większego paranoika, wolę się nie przyznawać, że o trzeciej w nocy sprawdzałem, czy nasz syn śpi w swoim łóżku.

– Jak myślisz, gdzie poszli wczoraj wieczorem?

– Pewnie do lasku Beacon Hill.

W czasie naszej rozmowy Toffi zdążył zniknąć. Teraz wraca z mocno wygryzioną piłką tenisową, upuszcza ją obok smyczy i ponownie spogląda na mnie.

– Już, już, chłopaku – mówię, drapiąc go pod brodą. Dobrze znam Beacon Hill (to jedno z ulubionych miejsc Toffiego), ale chodzę tam tylko za dnia. – Co oni tam w ogóle robią w nocy?

To retoryczne pytanie – oboje przecież domyślamy się odpowiedzi. Connor i jego kuzyn Zac są w tym przejściowym wieku,

kiedy nie mogą jeszcze kupić alkoholu w pubie, ale są już za duzi i zbyt niecierpliwi, żeby spędzać sobotni wieczór w domu. Kilku ich kumpli ma lipne dowody tożsamości, z których wynika, że ukończyli osiemnaście lat – zwykle pozyskane od kogoś znajomego, kto sprzedał im, wypożyczył lub podarował swoje tymczasowe prawo jazdy z niewyraźnym zdjęciem – co pozwala kupić piwo w barze. Ale to raczej wyjątki. Cała reszta jest skazana na domówki, imprezy urodzinowe, zaimprovizowane zloty pod nieobecność rodziców. Lub wypadu do lasku Beacon Hill.

Toffi śledzi teraz każdy mój ruch, strzygąc uszami, ilekroć wykonuję jakiś gest w stronę drzwi. Kiedy w końcu podnoszę smycz, nagradza mnie radosnym szczeknięciem. W salonie natykam się na moją córkę, Harriet, która siedzi po turecku na sofie w pidżamie „Team Gryffindor”, jedząc mleko z płatkami kakaowymi Coco Pops. Jak zawsze ma na uszach słuchawki wyciągnięte. Obok niej leży laptop, a na jej kolanach wyciągnięty łapkami do góry kot, Pablo.

– Harry? Idę z Toffim na spacer. Przyłączysz się?

Słuchawki tak skutecznie odgradzają ją od świata, że chyba w ogóle nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności. Niedługo będzie nastolatką, niemniej nadal jest niska i drobna. Została z tyłu za bardziej wyrosniętymi koleżankami i nie wykazuje najmniejszego zainteresowania ciuchami, makijażem, TikTokiem ani żadną z innych rzeczy, które, jak podejrzewam, zaczynają kręcić dziewczyny w jej wieku. Ale to się pewnie lada chwila zmieni. Tymczasem pasjonują ją programowanie, *Minecraft* i zwierzęta. Nadal woli dżinsy i koszulki. Od małego kategorycznie odmawiała noszenia spódniczek i w tej kwestii nie zmieniła zdania. Rude włosy utrzymuje po chłopięcemu krótkie, żeby nie zaczęły się za bardzo kręcić. Wydaje się szczęśliwa, co mi w zupełności wystarcza. Nasza Harry jest po prostu zagadką (jak to ujmuje moja żona) lub lekką ekscentryczką (jak twierdzi moja matka).

– Harry? – powtarzam odrobinę głośniej.

Odsuwa słuchawkę od ucha i spogląda na mnie.

– Coś mówiłeś?

– Idę na spacer z psem. Przyłączysz się?

– Nie chcę przeszkadzać Pablo – stwierdza, głaszcząc go po brzuszku drobną dłonią. Gdyby którykolwiek inny z domowników próbował zrobić coś takiego, kot zdarłby mu skórę z ręki do łokcia, ale przy Harriet tylko cicho mruczy i wygina się w łuk, dopraszając się o więcej.

Wskazuje ręką na laptopa leżącego obok niej na sofie.

– Co oglądasz?

– Różne rzeczy. Na YouTube.

– R ó ż n e r z e c z y, powiadasz? Brzmi interesująco.

– Jeżeli już koniecznie musisz wiedzieć, oglądam filmik, na którym światowej sławy haker wyjaśnia, w jaki sposób włamał się do supertajnej rosyjskiej bazy danych.

– Och! – Przystaję w drzwiach. – Serio?

– Nie, tato – wzdycha. – Po prostu wykłady TED.

Przykłada słuchawkę z powrotem do ucha i wciska „Play” na ekranie.

Laura przygotowuje tosty w kuchni. W tle odgłosów rozcina-
nia chrupiących kromek chleba słychać szemranie radia.

– Śniadanie – mówi, wręczając mi grubą kromkę posmaro-
waną dżemem jeżynowym. – Idę wziąć prysznic.

– Dzięki. – Odgryzam kawałek tostu, słodycz dżemu rozlewa się po języku. Wolną ręką owijam smycz Toffiego wokół ramie-
nia. – Do zobaczenia za godzinę.

Ruszam brukowaną dróżką w stronę domu sąsiada. Mijam jego usiany mleciami wyrosnięty trawnik. Notuję w pamięci, żeby w najbliższych dniach pojawić się tam z kosiarką. Po naciśnięciu dzwonka zapada na chwilę cisza, zupełnie jakby cały dom wstrzymał oddech. W końcu z głębi dobiega słaby głos:

– Kto tam?

Nachylam się bliżej niebiesko-czerwonej szyby stanowiącej część drzwi.

– To tylko ja, Arthurze.

– Chwila!

Na końcu korytarza pojawia się zarys sylwetki, która zaczyna się powoli zbliżać. Po chwili drzwi się uchylają. Kiedyś byliśmy tego samego wzrostu, ale upływ czasu wykrzywił kręgosłup i przygarbił ramiona Arthura, więc teraz spogląda na mnie do góry, trzymając obie ręce na lasce. Ponad dwie dekady temu przeszedł na emeryturę i przestał wykładać prawo na studiach licencjackich, niemniej jego bladoniebieskie oczy błyszczą równie mocno jak dawniej.

– Dzień dobry, młody człowieku. – Mimo ciepłego poranka ma na sobie długie spodnie, koszulę z długim rękawem i granatowy pulower.

– Dzień dobry, Arthurze – mówię. Toffi stoi posłusznie obok mojej nogi. – Zabieram tego tu brytana na spacer do parku i pomyślałem, że może Chester chciałby do nas dołączyć.

Formalnie rzecz biorąc, Arthur jest jednym z moich pacjentów, ale ponieważ wykazuje typową dla starszych mężczyzn niechęć do zwracania głowy swojemu lekarzowi rodzinnemu, staram się regularnie sprawdzać, jak sobie radzi. Jego żona Marjorie potrafiła go w razie potrzeby nakłonić do umówienia wizyty, ale odkąd odeszła, zrobił się bardziej uparty i nie ma ochoty prosić nikogo o pomoc w sprawie dolegliwości typowych dla osiemdziesięciolatka. „Bezsensowność to sygnał od Boga, że powinieneś jak najpełniej wykorzystać resztę danego ci czasu”, lubi powtarzać. W dni powszednie ja i Connor, po mojej pracy i jego szkole, zabieraliśmy zwykle oba psy na popołudniowy spacer, niemniej w ostatnim czasie ten obowiązek coraz częściej spada na mnie.

– Masz zapas mleka, chleba i herbaty? – pytam, wskazując głową w stronę kuchni. – Mogę ci coś kupić w drodze powrotnej.

– Dziękuję, Andrew, ale chyba niczego mi nie brakuje.

– A zapas whisky? – Uśmiecham się.

– Wystarczy do apokalipsy – odpowiada, mrugając okiem. – Lub aż Southend United wygra Premier League... No dobra, Chester. – Pies siedzi posłusznie, kiedy jego właściciel przypina mu smycz do obroży dłońmi pokrytymi plamami wątrobowymi. – Sprawuj się dobrze i nie narób żadnych kłopotów doktorowi Boydowi.

– Jeżeli ktoś robi kłopoty, to Toffi – stwierdzam, biorąc smycz od Arthura. – Na szczęście jest zbyt wolny, żeby cokolwiek złapać.

Arthur spogląda w niebo, mrużąc oczy. Jedną dłonią podpierają sobie plecy.

– Zapowiada się kolejny gorący dzień.

– Idzie zmiana pogody.

– Jak zawsze – stwierdza. – Choć podejrzewam, że zanim to nastąpi, zrobi się jeszcze goręcej.

– Do zobaczenia później. – Oba psy patrzą na mnie wyczekująco. – Dobra, ruszamy, panowie.

Mam się już obrócić, kiedy ponownie słyszę słaby głos sąsiada.

– A co tam słyhać u twojego chłopaka?

– U Connora? Wszystko w porządku, dziękuję. Szczęśliwy, że szkoła się skończyła.

– Pewnie dziś odsypia, co nie? – Arthur rzuca tę uwagę najnormalniejszym tonem, jakbyśmy nadal wymieniali uprzejmości.

– Po tym, jak tak późno wrócił do domu.

W tym stwierdzeniu nie słyszę żadnej złośliwości czy kpiny, niemniej zostało wypowiedziane w taki sposób, że zamieram. Zupełnie jakby Arthur wiedział coś, czego ja nie wiem.

Tylko spokojnie. Zachowujesz się niepoważnie.

– Zaczął wakacje, Arthurze – wyjaśniam, zmuszając się do uśmiechu. – Skończyły się egzaminy, więc może się wysypiać codziennie.

Kiedy otwieram bagażnik samochodu, żeby wpuścić do niego psy, Arthur nadal stoi w drzwiach swojego domu. Macha mi na pożegnanie, kiedy odjeżdżam.

W połowie drogi do lasu dzwoni telefon. Na ekranie na desce rozdzielczej wyświetla się numer mojego brata.

– Hej, Rob, co słyhać?

On nie traci czasu na wymianę uprzejmości.

– Zac jest u was?

– Zac? Nie. Nie ma go...

– Nie spał u was?

– Nie. A co?

Nasi synowie zawsze trzymali się razem. Dorastali, chodząc do tych samych szkół i grając w tych samych drużynach piłkarskich. Connor – jako niezawodny prawy obrońca: solidny, poważny i wykonujący bez lęku wślizgi, z kolei jego kuzyn Zac – jako energiczny napastnik: szybki i sprawny technicznie, obdarzony instynktem strzeleckim. Choć na boisku nie mogli się bardziej różnić, poza nim zawsze świetnie się rozumieli jak dwie połówki jednej całości. Byli sobie bliscy jak bracia – nawet wyglądali jak bracia – z tą różnicą, że się nie tłukli.

– A widziałeś go w ogóle dziś rano? – dopytuje brat. – Nie zajrzał do was?

– On i Connor spędzali razem wieczór poza domem, ale nie widziałem dziś Zaca.

– Kurwa – mówi cicho Rob.

Czuję ukłucie niepokoju u podstawy kręgosłupa.

– A co się stało?

Słyszę, jak brat bierze głęboki oddech, po czym nerwowo wydmuchuje powietrze z płuc.

– Nie wrócił na noc do domu.

Polub nas
na Facebooku



KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

JAK DOBRZE ZNASZ SWOICH BLISKICH?

Andy i Laura pozwalają swojemu synowi Connorowi świętować wspólnie z przyjaciółmi rozpoczęcie wakacji. Pod jednym warunkiem – chłopak musi wrócić do domu przed północą. Kiedy Connor nie zjawia się o umówionej godzinie, rozpoczyna się seria niepokojących wydarzeń, które na zawsze odmienią życie pięciu rodzin. Tej nocy bowiem do lasu weszło pięcioro nastolatków, a wyszło z niego tylko czworo. I każde z nich zdaje się coś ukrywać...

KRÓL DYNAMICZNEGO THRILLERA

Lektura wręcz hipnotyczna – ze zwrotami akcji, których się nie spodziewasz!

Lee Child

Nawet najbardziej dociekliwy czytelnik nie domyśli się zakończenia aż do ostatnich stron.

„The Times”



bukowylas.pl

Polub nas na
Facebooku



Cena: 44,90 zł
(w tym VAT)